Rozmaitości

Dnia 4. Lutego **Nr 5.** 1837 Roku.

UROK MIŁOŚCI.

Powieść wschodnia.

Sto pięćdziesiąt lat upłynęło jak kalifat swoje despotyczne berło rozciągał nad Hiszpaniją, owym najpiękniejszym krajem świata i jak panował nad największą jego częścią, gdy Abderamen III. na tron wstąpił. Byłto monarcha lubiący przepych, a co ówczasowi dziejopisarze o pałacach jego donoszą, to brzmi tak prawie, jak dziwa z »Tysiąc i jednej nocy.« Aczkolwiek aż do rozrzutności sztuki piękne lubił, nie zapominał przytém o godności swojej posady i o wykonywaniu sprawiedliwości bez różnicy osób, a skoro zasłyszał, że w której części państwa komu z jego poddanych niesłuszność się stała, dopotąd nie uspokoił się, dopokąd krzywdzącego nie ukarał, a skrzywdzonego według sił własnych i możności nie załagodził. Lud kochał go przeto i nazywał nie tylko mądrym monarchą, ale oraz ojcem swoim. Abderamen zaszczycał się tém szczęściem, nie wielu monarchów udziałem będącém, że w wielkim wezyrze Abu-Melik, w słudze najbliżej tronu jego stojącym, miał wiernego przyjaciela, który mądrémi wspierając go rady, był oraz nieulękłym obrońcą prawności, wystawiając się nie raz na niebezpieczeństwo ściągnienia na siebie gniewu monarchy, a co w kraju, gdzie dowolność panowała, niesłychanym było przypadkiem..... Zdarzyło się, że w owych niezliczonych z mocarstwami chrześcijańskiemi walkach, z odmiennem prowadzonych szczęściem i raz na tę, raz na owę stronę przeważającém szalę zwycięztwa, dziewica dostała się w niewolę Maurów, której piękność każdego jak najmocniej, kto tylko na nią popatrzył, zachwycała. Dowódzca wojska kalify postanowił monarsze swojemu posłać tę piękną brankę, będącą najdroższym wieńcem jego nad niewiernymi zwycięztwa. Nie omylił się w swojém mniemaniu, bo skoro tylko na władczy rozkaz Abdaramena spadła z tego prawdziwego cudu zasłona, wnet opanowała go miłość, jakiej nie czuł dotąd, lubo miał trzysta kobiét, które wszystkie koleją kochał, i z których każdę kazał nadwornemu poecie swojemu w napuszonych opiéwać wiérszach, a ten je to gwiazdami Korduby, to kwiatami Jerychu, to lotnémi dzikiemi kozami puszczy i t. p. nazywał. Ponieważ miłość monarchy była bardzo eteryczną, to jest ulotną, poeta zatém miał nader wiele przy opiéwaniu kochanek jego do czynienia, i musiał pomocnika trzymać, któremu od sztuki płacił, a który naprzód już robił mu wiersze pochwalne, on zaś im tylko ostatniéj dodawał ogłady.

Lecz odkąd piękna Izabella za pomocą uroku swych wdzięków zrobiła padyszacha Granady swoim niewolnikiem, od tego czasu owładnęła wyłącznie pełne zmienności jego serce i odtąd żadna z kobiét nie była w stanie uwięzić go, choćby na chwilę tylko, lubo tak wiele do tego zadawały sobie pracy, lubo jak najstaranniéj ubiorów i piększydeł dobiérały i wyczerpywały wszelkie tajemnice gotowalni. Co one sztuką starały się pozyskać, wszystkiem tém przyroda rozrzutną ręką obdarzyła dumną Hiszpankę, a jeden czarujący uśmiéch jéj ustek unosił monarchę we wszystkie siedm nieb Machometa. Dotąd nie pałał on prawdziwą miłością; to nadskakiwanie, tę niewolniczą uległość, to poddawanie się jego humorowi, z którémi uprzedzały go wszystkie niewiasty haremu, poczytywał za oznakę wewnętrznego uczucia,

za skutek niemożności oparcia mu się, nie pomnąc, że będąc władzcą milijonów, który jedném skinieniem życiem lub śmiercią władał, tém samém bardzo przeważał szalę własnych zasług, i nie można było słabym kobiétom miéć tego za złe, że wolały, iż władzca bawił się z bujnémi kędziorami ich jedwabnych włosów, niżli gdyby miały wystawiać się na niebezpieczeństwo być zmuszonémi do bawienia się złowrogiem sznurkiem jedwabnym. Atoli jakże się zdumiał władzca prawowiernych Maurytanów, natrafiwszy właśnie na dziewicę, oprócz anielskich wdzięków, także własną wolę mającą. Byłto przymiot charakterystyczny, jakiego przed nią żadnemu jeszcze mężczyznie, a tém mniéj kobiécie miéć nie wolno było. Nie chciała ona ulegać humorowi władzcy, nie chciała słuchać jego rozkazów, ale i owszém upiérala się o to, ażeby potomek Machometa, tego, który klacz swoję w niebie osadził i pozwolił ulubionéj kotce swojéj okocić się w szérokim rękawie swojéj szaty, ażeby daleki stryj słońca i syn księżyca znosił jéj kaprysy i jéj rozkazów słuchał! Lecz właśnie owato uporczywość dziewicza, owa bezprzykładna swawola, miały taki niepokonany urok, że Abderamen zmieniwszy mimo woli rolę swoję, z pana niewolnikiem został, nie mogąc nawet tego wytłumaczyć sobie, jakim się to stało sposobem. Za jedno przyjażne spojrzenie czarnych ócz Hiszpanki byłby oddał cały swój harem, jak Hamlet chciał za bawidełko dziecięce oddać życie swoje. Na jedno jéj słowo byłby wszystkim Murzynom kazał poucinać głowy i takowe u nóg jéj złożyć, a za jedno ust jéj pocałowanie byłby jak Herkules wziął kądziel do ręki, przyzwyczajonéj tylko wezyrom głowy ucinać, i byłby w miłosnéj pokorze usiadł u nóg téj drugiéj Dejaniry.

Lubo dziejopisowie, we wszystkich czasach széroko rozprawiać lubiący, już przesadzają w opisaniu przepychu i rozrzutności tego monarchy, doniesienia ich przechodzą nawet wszelką wiarę, jaką daleka i ochłoniona z zapału dać im może potomność, gdy przychodzi im mówić o pałacu *Arizapha*, który kalif wystawić kazał ku czci Izabelli, swojéj sułtanki faworyty, a który zasługiwał właściwie, by go miastem pałaców, lub drugim Edenem nazwano. Sprowadzono najzręczniejszych artystów ze wszystkich ucywilizowanych krajów, a królowie i książęta ubiegali się w dostarczeniu najdroższych materyjałów. Gmach główny spoczywał na 1200 słupach z najosobliwszych arabskich, afrykańskich, hiszpańskich i karraryjskich marmurów, a jak dalece strona zewnętrzna wielce okazałą była, o tyle wewnętrze pałacu w przepychu i drogości skarbów przewyższało to wszystko, co dotąd w tym rodzaju zrobiono i opowiadano, zacząwszy od dziwotwornych powieści Szeherezadany, aż do pomysłów fantastycznych, jakie tylko powstać mogą w głowie którego z tegoczesnych autorów naszych, co opery czarodziejskie z dekoracyjami i machinami utwarza. Ściany gmachów okryte były złotem, przepełnione prawie perłami i drogiemi kamieniami, i chociaż przyznać potrzeba, że takie ozdabianie pałaców nie było ze wszystkiém smakowne, na wszelki jednak przypadek nadzwyczajném nazwać je należało.

W środku gmachu, w którym Izabella przyjmowała hołdy władzcy Korduby, znajdowała się kotlina, napełniona wodą różaną, po któréj pływały sztuczne ptaki wodne, ze słoniowéj kości i dyjamentów zrobione. Nad kotliną wisiała perła nieoszacowanéj wartości, która widziana oczyma francuzkiego gazeciarza, byłaby urosła w wielkość głowy dziécięcéj, lub małego arbuza, a która miała być delikatném porównaniem z właścicielką pałacu, nieocenioną perłą będącą. Wszystkie te przepyszne rzeczy były jeszcze za nadto małoznaczącémi do dostatecznego okazania czci, jaką ku faworycie kalif zakochany pałał. Jéj posąg pod arkadą z alabastru umieszczony, ozdabiał wnijście do pałacu, i uważany był za arcydzieło, dłóta Fidiasza godne. Chociaż Muzułmanie z podziwieniem i wewnętrzną radością przypatrywali się temu posągowi, obudziło to jednak bałwochwalczą bojaźń ludu, ponieważ tém przekroczoną została ustawa proroka, zakazująca robienie wizerunków, dla niepopadnięcia w bałwochwalstwo pogan. Wkrótce nawet krążyła wieść pomiędzy ludem, że kalif oczarowaniem téj chytréj cudzoziemki, mogącéj być władzy szatańskiéj posłanką, tak dalece w jéj sidła zawikłanym został, że w całym świecie dla niéj tylko miał oczy, uszy i serce. Lud, popijając wyborną kawę z Mokki, któréj aromatyczny zapach do

głowy mu uderzał, ośmielał się czasami mruczéć na postępowanie kalify; lecz gdy Abderamen, udając się do meczetu lub na radę stanu, wyjechał z pałacu swojego, otoczony 12.000 zbrojnego żołniérza, z bronią dyjamentami osadzaną, i ze szablami ze złota, wtedy lud podziwiał tylko jego potęgę i dostojność, a najgłośniejsi kawiarń krzykacze bylito ci właśnie, co się najniżéj kłaniając twarzami proch ziemi zmiatali, czego na nosach najoczywistsze mieli znaki; bylito ci, którzy przed kuzynem księżyca ani oczu podnieść nie śmieli.

Chociaż padyszach niekiedy przy własnych sprawach o obcych zapominał, zacny wszelako Abu-Melek silną ręką władał stérem rządu i monarchicznego przyjaciela swojego uważnym robił, skoro ten niesłuszność jaką popełnić zamyślał. Dzieje zachowują nam wiele tego rodzaju przykładów, z których jeden mianowicie przytoczymy tu szanownym czytelnikom naszym, udowadniający dostatecznie mocne zamiłowanie kalify ku prawdzie i słuszności, równie jak umysł nieulękły odważnego wezyra, gdy szło o niewinnie cierpiących obronę.

W czasie kiedy ów pałac cudotworczy *Arizepha* budowano, mały kawałek pola, należący do pewnéj ubogiéj wdowéj i stanowiący jedyną jéj własność, przeszkadzał obszérnym planom budowniczego i zdawało im się daleko króciéj, oraz stosowniéj, naruszyć cudzą własność i skrzywdzić ubogą niewiastę, niźli odmienić co w zarysie budowniczym, co był równie jenialnym, jak misternie ułożonym i mógł twórcę swojego wieczną okryć sławą. Lecz uboga wdowa innego była zdania, ów kawałek pola był nieoszacowanym w jéj oczach, pochodził bowiem od jéj przodków i za żadną cenę rozłączyć się z nim nie chciała, ponieważ przywiązywało się doń wiele drogich dla niéj pamiątek. Kiedy więc ani dawane wynagrodzenie, ani przedstawienia nie pomagały i nie pojmowano, jakie oprócz zabezpieczenia swojego majątku inne powody uboga niewiasta miéć może, opór jéj poczytano za zbrodnię, i gdy mający ją wspiérać sąd sprawiedliwości nic o jéj sprawie wiedziéć nie chciał, postąpiono z nią podobnież, jak najznakomitsi bohatérowie ze słabszymi postępować zwykli, to jest: zdobyto własność ubogiéj wdowéj, czyli mówiąc innémi wyrazy, przemocą takowę wydarto, a główny nadzorca ogrodów kalify, gdy się do niego z prośbą udawała, wraz ze skargą za drzwi ją wyrzucił. Pozbawiona wszelkiéj nadziei udała się do Abu-Meleka, którego przechadzającego się w pewném samotném miejscu przypadkiem zdybała, a który pytał ją o przyczynę jéj smutku. Los do dobrego zaprowadził ją człowieka, szlachetny wezyr słuchał z udziałem jéj zażaleń, pocieszał ją i przyobiecał wstawić się za nią. Nie zatrzymując się ani chwili, dosiadł swojego muła, wziął z sobą wór duży i pojechał do pałacu kalify. Zastał władzcę w przepysznym salonie, na polu wydartém wdowéj zbudowanym. Chociaż wielki wezyr miał wolny przystęp do kalify, ten wszelako zdumiał się nie pomału, iż tak niespodziéwanie i o tak niezwykłéj godzinie przerywają mu jego sam na sam z kochanką. Izabella przelękła się strasznie, ujrzawszy złowieszczy wór, słyszała bowiem w swojéj ojczyznie o owym godnym podziwienia zwyczaju na Wschodzie, iż podejrzane o niewierność niewiasty haremu w wór zawiązywane, i ażeby ochłodziły się trochę z niepozwolonego zapału, w morze wrzucane bywają, dla odprawienia łaźni, z któréj żadna jeszcze nie powróciła. Lecz wezyr padł przed kalifem na kolana, i gdy go monarcha podnosił, pytając łaskawie o jego żądanie, upraszał tenże, by dostojny kalif pozwolić mu raczył ów wór tajemniczy napełnić ziemią, po któréj noga monarchy stąpała. Abderamen wysłuchał téj skromnéj prośby ministra, raz że go to nic nie kosztowało, powtóre, że upatrywał ukryty w tém kompliment oryjentalny. Wezyr własnémi rękoma usiłował swój długi wór napełnić, a lubo ta niezwykła praca trochę mu przykro przychodziła, poźniéj wszelako, zasiadłszy do obiadu, uczuł, jak ona była dla apetytu jego zbawienną. Napełniwszy wór ziemią, o to znowu upraszał władzcę Granady, by mu pomógł dźwignąć go na muła. Lubo monarcha to nowe żądanie swojego ulubieńca jeszcze dziwaczniejszém jak piérwsze znajdował, przystał jednak i na to, raz dla tego, że był właśnie, jakto mówią, w różowym humorze, to znowu dla tego, że gdyby był się za to rozgniewał, nic mu innego, jako kalifie, czynić nie pozostało, jak kazać wezyrowi uciąć głowę, któréj tak bardzo do

rady państwa potrzebował. Przybrał więc na siebie rolę drażnika; lecz mimo wszelkiego natężenia sił swoich, obaj nie mogli podjętéj dokonać pracy, a Abderamen zrobił tę dowcipną uwagę, że ciężar ten ich siły przechodzi. »Najjaśniejszy Panie!« rzecze na to Abu-Melek, padając na twarz dla ozłocenia pokorą swoją téj gorzkiéj pigułki, którą miał dla niego w pogotowiu; »Najj. Panie! wór ten zawiéra tylko małą cząstkę owéj ziemi, którą niesprawiedliwie ubogiéj niewieście zabrałeś; jakże w dniu sądu ostatecznego zdołasz ponieść karę, która w stosunku do całego pola, przez ciebie bezsumiennie sobie przywłaszczonego, na twoję głowę spadnie!«

Kalif czując już na swoim grzbiecie, jak gdyby kamień Syzyfa, ogromny ciężar całego zabranego pola, przedstawieniem zacnego ministra był do żywego dotknięty, i nie tylko przebaczył mu tę śmiałą parabolę, ale oraz uczynił wszystko, co było w jego mocy, dla naprawienia niesprawiedliwości, którą biednéj wdowéj wyrządzono. (Dalszy ciąg nastąpi.)

SIÉROTA.

Wiosna świeżym kwitnie majem,
Lecz nie dla mnie kwiaty ściele;
Dla dwóch tylko serc świat rajem,
Dla dwóch tylko serc wesele.
Drży pierś lubym niepokojem,
Wnet się same chęci sieją:
Dla siéroty — łzy napojem,
Dla siéroty — grób nadzieją!

Słodsza gorycz do wypicia
Niż samotny bezcel doli,
Cóż po życiu? kiedy życia
Żadne chcenie nie zaboli:
W bolu jeszcze ta pociecha,
Że się z kimsić zda być społem;
Dla siéroty — świat bez echa,
Dla siéroty — śmierć aniołem.

W jednem miejscu przez lat tyle,
Jedno serce dla mnie biło,
Dziś to miejsce — na mogile!
Dziś to serce — pod mogiłą!
— Rzekł, i łez się oblał zdrojem,
I ubitą szedł koleją:
Dla siéroty — łzy napojem,
Dla siéroty — grób nadzieją!

Ryczy burza w nocnéj dobie,
Strachem każda pierś oddycha;
Kopie grabarz grób przy grobie,
I powtarza sobie z cicha:
W popiół przejdzie co popiołem,
Poszedł matki syn koleją;
Dla siéroty — śmierć aniołem,
Dla siéroty — Bóg nadzieją!

Marylko! czy też idzie do twéj duszy
Nektar poezyi? Czy strónę bardonu
Gdy w brzmiącéj nucie dłoń wieszcza poruszy,
Ty nic nie czujesz? i nic z tego tonu
Nie idzie w pierś twą, nie zapieści ucha,
Ze snu ziemskości do życia nie zbudzi,
I nie zapala i nie wznosi ducha
Gdzieś tam wysoko, nad światy, nad ludzi!?...
Słuchaj: gdy myśl twą od ziemi odbiwszy,
W jakimcś uczuć serdecznym zachwycie,
Puszczasz w świat rojeń daleki, szczęśliwszy,
Gdzie w innem niebie inno płonie życie,
I do téj gwiazdy, co ci szczęściem świéci,
Z bijących piersi słodkie ach! uleci,
I takim duszę ogarnie płomieniem;
Słuchaj, o! słuchaj: to anioł poezyi
Przez pierś przeleciał, i wzniósł ją westchnieniem!
Kiedy znów w myśli dręczących natłoku
Ciernią ci życie jadem wszystkie tchnienia,
I tylko wzrokiem całym na obłoku,
Mówisz do twórcy w imię przyrodzenia,
A potém myślą o Bogu litości,
Już, już w ostatniéj tlejącą iskierce,
Zmieniasz jad bolu w hymn jeden miłości,
Słuchaj, o! słuchaj: to anioł poezyi,
To ten sam anioł twe nawiedził serce.
Prawda?... ach! powiedź, jak świętém jest czucie,
Którém pierś twoja mimowolnie bije
Na widok nieba i gwiazd na błękicie;
Otóż wieszcz takiém czuciem ciągle żyje!
A co ty widzisz raz w wiosny poranku,
I niewyraźnie, znikomo i skrycie,
Śpiéwak to widzi, tém wre bez ustanku,
Bo jednym hymnem całe jego życie!
Dźwięk, który słabo uszu twych dochodzi,
Ogień, co ciemno i zdala ci płonie,
On, w tchnieniu czuje, w każdym pulsie rodzi,
A kiedy w oku piękności utonie
I harmonijnym akordem miłości
Zabrzmi pierś jego, kocha duszą światów,
Muzyką niebios, melodyją kwiatów,
Kocha tém wszystkiém, co czuciem tchnie, ludzi,
I ta, ta samą miłością się zbudzi
W wielkim, w cudownym dniu nieśmiertelności.

Marylko! chceszli, chcesz tak być kochaną,
I żyć po zgonie? Odpowiédz — spojrzeniem,
Albo uśmiechem, lub jednem westchnieniem;
Wpleciona w pasmo dni i lat bez końca
Piosnka złotego rozsławi bardonu,
A w ostatecznéj chwili twego zgonu
Wznijdzie ci promień niezgasłego słońca.

H. C.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.*)

IX.

TARGI I SKŁADY PUBLICZNE.

Omyliłby się bardzo, ktoby z naszych targów, jarmarków, kermaszów, tworzył sobie wyobrażenie o targach paryzkich, i ktoby ludność którego z naszych miasteczek, obok milijonowéj prawie ludności Paryża, stawiając, stosunek naszych targów do targów paryzkich niejako algebraicznie chciał ustanowić. Wypadałaby z takiego rachunku summa sto dwieście razy większa widoków rozmaitych i malowniczych. Jeżeli do miasta kilko-tysięcznego przybywa na targ, lub jarmark, drugie kilka tysięcy mieszkańców wiejskich, więc na targi paryzkie powinnoby przybywać około milijona wieśniaków. Jeżeli rynek miasteczka polskiego w dniu targowym za mały bywa na pomieszczenie wszystkich ludzi i rzeczy, jeżeli izby szynkowne za szczupłe wtenczas bywają, a hałasy i gwary, jeżeli się rozlegają daleko za domami, więc prosty wniosek, że na targi paryzkie potrzebaby placu dziesięć razy większego, niż jest plac marsowy, na szynki przynajmniéj tak wielkich izb, jak jest plac marsowy, a na utrzymanie spokojności i porządku, tyle przynajmniéj policiantów, ileby się ich pomieścić mogło na placu marsowym. Wnioskowanie to zdaje się tak naturalne, tak loiczne, a jednakże wszystkoto byłoby w rzeczywistości tak nieloiczne i niepodobne. Owszém, wnioskowanie przeciwne, acz niedorzeczne na pozór, będzie tutaj trafne i prawdziwe. Jeżeli w małém mieście targi są ożywione, wesołe, różnobarwne i dla ludu dniami niejako uroczystémi, więc w Paryżu są spokojne, jednostajne i ciekawości nie obudzające.

Rzeczywiście, ile razy przywodzę na pamięć widok targu, lub jarmarku którego z naszych miasteczek, tyle razy zastanawiam się, czy nie zaślepia mnie jakie uprzedzenie, czy nie unoszą mnie ku sobie jakie spomnienia. Ale i Francuza i Paryżanina żywiéj zajęłyby, niż tutejsze targi, owe zgromadzenia naszych wieśniaków, gdzie więcéj jest zabawy, niż przemysłu, więcéj wzajemnego witania i serdecznych uściśnień, niż zimnéj rachuby, więcéj swobody, niż spokojnego porządku.

*) Ob: N. 51. Rozm. z r. 1836.

Niepodobna jest Paryżaninowi używać podobnego widoku; ogniwo, które stolicę jego łączy z mieszkańcami wsi, znika w jéj ogromie i zdaje się, jak gdyby niewidoma ręka zaopatrywała go w piérwsze życia potrzeby. Kilkadziesiąt targów dzieli Paryż na tyleż miast, a stosunki jego handlowe z wieśniakami odbywają się na głównych targach, prawie bez wiedzy jego mieszkańców. Zajęci w ciągu dnia i wieczorem, sprawami ważniejszémi, to zabawami, to giełdą, to handlem miejscowym i zewnętrznym, nie mieliby miejsca i czasu na drobne z wieśniakami interesa i dla tego przezorna policyja oznaczyła chwilę ich spoczynku, zwykle od godziny 2giéj po północy do godziny 8méj z rana, na zwyczajne i codzienne targi. Kiedy więc cały Paryż snem siły krzepi, tylko klasa przekupniow odbywa z wieśniakami czynności targowe. Nie dziw więc, że tak podzielone nocne i codzienne targi, lubo w stolicy wielkiéj, odbywać się muszą spokojnie i jednostajnie.

Ale czynności targowe wieśniaków nie kończą się tu w nocy na ich stosunkach z przekupniami. Wtenczas, kiedy tamci już miasto opuszczają, kiedy ci porządkują i najkorzystniéj dla oka ustawiają zakupione rzeczy, kiedy już tylko ręczne wózki mogą jeszcze krążyć po ulicach z codziennemi potrzebami życia, wtenczas dopiéro budzi się Paryż i ze wszech stron przybywają sługi, kucharze, gospodarze, przekupnie z drugiéj ręki i rozpoczynają targ właściwy, który trwa do samego wieczora.

Francuzi oznaczają wyrazem *Marché* targi nocne i dzienne, oraz place na nie przeznaczone. Od kiedy na tych placach dla wygody ludu zaczęły się wznosić budowy targowe, wyraz *marché* do nich się także ściąga. Wszystkie prawie tego rodzaju gmachy należą do czasów nowszych. Wygody ubogich mało dawniéj obchodziły władzę i obojętnie dla niéj było, czy włościanin, przekupień, sługa, wystawiony bywał na pociski promieni słońca, na przykrości wichru, deszczu i zimna. Wyznaczono im zwykle plac, a z resztą zostawiano ich opatrzności i własnemu przemysłowi. I dla tegoto na takich placach widać było tu budki, tam niby namioty, gdzieindziéj parasole nad głowami rozpięte, tu owoce na ziemi, tam na płachtach, indziéj na stolikach, albo na wózkach. Słowem, było tam wszystko w stanie

natury, zbyt niedogodnie i poniżająco dla ludu cywilizowanéj stolicy. Ślady takich targów znajdują się jeszcze w Paryżu, przy ulicy *Sevres*, gdzie na wyznaczonéj przestrzeni, wzdłuż muru, kilkaset przekupek dawnym zwyczajem ochrania się od słońca i zimna wielkiemi parasolami i łatanemi płachtami, albo matami słomianemi. Dzisiaj gmachy targowe zajmują niepospolite miejsce w budownictwie, różnią się według swego przeznaczenia i potrzeb publiczności, zaprowadzają nareszcie wielkie ulepszenie w sposobie życia przekupniów, w godności służących i ubogich. Jeszcze i w Paryżu wiele pod tym względem jest do zrobienia, ale i to, co zrobiono, zasługuje na uwagę. Jeszcze i tutaj targi na konie i na kwiaty odbywają się pod gołém niebem; jeszcze, jak powiedziałem, przekupki pod parasolami przypominają dawniejsze czasy; jeszcze targi nie są wieczorem dosyć oświécone; jeszcze w gmachach targowych większe wygody mogłyby być zaprowadzone; ale to wszystko nastąpi, bo władzę zajmują podobne ulepszenia i każdy nowo wznoszący się gmach targowy odznacza się widocznie nowémi udoskonaleniami.

Tutaj więc nie tyle o targach samych, ile o budowach targowych chcę mówić. Najpiérwsi zwykle budowniczy kréślą ich plany i każda nowa tego rodzaju budowa, pokazuje oprócz ciągłego usiłowania o jak najlepsze umieszczenie owoców, jarzyn, mięsiw i nabiałów, oraz największą dogodność dla wieśniaków, przeknpniów, służących i uboższych mieszkańców, pokazuje, mówię, wielki postęp w saméj sztuce budowniczéj, co tém szczególniéj się wydaje, że budownictwo we wszystkich prawie innych odnogach swoich nie tylko żadnego nie czyni tu postępu, ale nawet zdaje się cofać. Spoglądając np: na kościoły, które się teraz w Paryżu wznoszą, rzekłbyś, że to nie świątynie pańskie, ale altany ogrodowe, albo największéj jakie muzea, tak daleki jest styl ich budowy od przeznaczenia świątyń i od wielkich wzorów, które wiek dziewiętnasty we wszystkich krajach dostał w puściźnie. Nie otworzony jeszcze kościół Maryi Magdaleny wziął cały pomysł z gmachu giełdowego i zdaje się, że budowniczy cały rozum swój na to wysilał, ażeby wznieść świątynię, zupełnie odpowiednią sali, w któréj się zgromadzają bankierowie i gracze giełdowi. Na przeciw tego kościoła stoi pałac izby deputowanych, podobny do niego; ale wszyscy znawcy w tém się zgadzają, że podobieństwo to nie wypada na korzyść kościoła. Dwa gmachy na przeciw siebie stojące, do siebie podobne, wielkie, okazałe, podzielone od siebie spaniałym mostem z posągami, sprawiają zapewne widok piękny i przyozdabiają tę część miasta; podobne wrażenie sprawia także giełda. Ale jakież będzie miał lud uszanowanie dla swojéj religii, jeżli będzie widział, że święte jéj obrzędy odbywają się prawie w takim samym gmachu, w jakim się układają spekulacyje finansowe, codziennie bogacące jednych, a pochłaniające majątki drugich? Pomysł budowy kościoła Maryi Magdaleny, tak wiernie jest naśladowany, rozmiary wzoru tak ściśle są zachowane w téj świątyni, że budowniczy nie zostawił w niéj miejsca na dzwonnicę, tego głównego znamienia kościołów chrześcijańskich, które nadto otwiéra obszérne pole dla sztuki. Trudno jest w istocie pojąć myśl, która pozwoliła wydać trzynaście milijonów na przyozdobienie cztérech prostych ścian kamiennych, nie mających ani charakteru kościoła, ani architektonicznéj, ani rzeczywistéj wielkiéj wartości, tak pracowitémi rzeźbami, tak spaniałémi kolumnami, tak bogatémi obrazami. Z wieży *Notre Dame* spoglądając na Paryż, łatwo rozróżnić od innych gmachów, kościoły Ś. Sulpicyjusza, Ś. Eustachego, Panteon, gmach inwalidów i inne; lecz jeżeli dobremu wzrokowi uda się dostrzedź kościół Maryi Magdaleny, pewnie podobniejszy zdawać mu się będzie, pomimo bogatych cacek, którémi go przystrojono do obszérnéj rajtszuli, aniżeli do świątyni Pańskiéj. Innego, równie jeszcze nie otworzonego kościoła, który ma być poświęcony pod nazwiskiem Panny Maryi Loretańskiéj, nie dostrzeże z wieży *Notre Dame* najbieglejsze oko. Pomysł jego już nie z giełdy, ale z jakiego kiosku chińskiego, albo z jakiéj klatki na ptaki, musiał być wzięty. Postawiony jest jak gdyby dla rozerwania widoku mieszkańców ulicy *Laffitte*, na któréj hotele bankierów kilkakroć od niego są okazalsze. Nadaremnie osoby u stéru rządu będące, wdawać się tu będą w rozumowania architektoniczne, a budowniczy w obrachunki statystyczne. »Nie stawiajcie (możnaby im powiedzieć) jeżli nie chcecie, wieżyczek nad wieżyczkami, galeryjek nad galeryjkami; nie wyobrażajcie w rozmaitych postaciach okropnych piekieł i strasznych szatanów; obstalowujcie u rzeźbiarzy i malarzy same postacie i twarze, któreby nie raziły waszego wzroku, nie obrażały waszego smaku; ale niech budownictwo najwznioślejsze nie zstępuje z wysokości, na jakiéj je postawili wielcy wieków zeszłych mistrzowie. Niechaj następcy nie naśladują koniecznie swoich poprzedników, niech tworzą nowe kształty, aby tylko wielkie i odpowiednie. Nie stawiajcie nowych kościołów, jeżli dawniejsze za obszérne są dla wiernych, a jeżli widzicie ich potrzebę, niechże będą godne przeznaczenia swojego, i niech się za nie nie wstydzi wiek dziewiętnasty! Za złe poczytywanoby wam, i bardzo słusznie, gdybyście piwnice wznosili na piętrach, a mieszkania dla ludzi w dołach.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Wiédniu. Teraźniejszy Monarcha nasz, równie jak Najdostojniejszy ojciec jego ś. p. Cesarz Franciszek I., udziela łaskawéj opieki swojéj starożytnościom Czech. Najwyższy burgrabia Czech, hrabia Chotek, zwiedziwszy zeszłéj wiosny starożytną twierdzę Karlogród (Karlstein), gdy przedłożył Najj. Cesarzowi Jegomości podczas koronacyi prośbę o zupełne podźwignienie z gruzów tego sławnego zamku; Monarcha nie tylko summę 7000 złr. m. k. na restauracyję tego gmachu przeznaczyć raczył, lecz oraz rozporządził, ażeby na przyszłość wszystkie potrzebne w nim budowy i reparacyje, działy się na koszt najwyższego skarbu,

Z Warszawy. Ukończył się zeszłego miesiąca rok drugi pisma: *Muzeum domowe*. Zbiór całoroczny obejmuje wiele zajmujących artykułów i pięknych rycin, jakoto: Zarys życia i pism Szyllera, Göthego i Kalderona. Puszcza Białowiezka. Olkusz. Dóm Piotra W. w Sardam. Rej z Nagłowic. Jan Kochanowski. Kościół Ś. Dyjonizyjusza pod Paryżem. Kazimiérz nad Wisłą. Rubens. Kanowa. Czacki. J. S. Bandtkie. O kobietach i ich przeznaczeniu u ludów tegoczesnéj Europy. Bicetre. Urny sławiańskie wykopane w Lubaszu. Wrocław. Marcin Bielski. Szopen i t. p. (K. W.)

Z Paryża. Od kilku lat uczęszcza do paryzkiéj szkoły sztuk i rękodzieł *(ecole centrale des arts et des manufactures)*, zakładu prywatnego, ale w swoim rodzaju jedynego, co rok po kilkunastu Polaków, sposobiąc się na mechaników, budowniczych, inżynierów i na rządzców rozmaitych fabryk. Niektórzy ukończywszy trzyletni kurs w téj szkole, stawiają już mosty, urządzają fabryki albo im przewodniczą, Jeden z nich, *p. Jan Netrebski*, winien także usposobieniu w téj szkole ważne ulepszenie, jakie uczynił w machinach parowych; machiny jego wynalazku są nierównie prościejsze, mniéj żelaza i opału potrzebujące, a zatém mniéj kosztowne od zwyczajnych machin parowych. Zarzucają niektórzy temu wynalazkowi, że do większych machin nie da się zastosować, a wszyscy znawcy przyznają, że w machinach aż do siły ośmiu koni, wielkie zaprowadzi ulepszenie. — Panowie Kątccy, od kilku miesięcy we Francyi bawiący, dawali d. 11go stycznia r. b. drugi publiczny koncert w Paryżu. Bilety sprzedawane były po 6 i 10 fr. i może téj okoliczności przypisać trzeba, że oszczędna, a przytém mnóstwo zabaw mająca publiczność paryzka, nie tak licznie się zgromadziła, jak zasługiwała gra tych młodych artystów. — Guzików już schodzi z pola, już o nim przestali mówić, już się wyczerpały jego bijografije. Umiał jednak zaostrzyć ciekawość do tego stopnia, że grał w Tuileryjach na pokojach królewskich, a drugi koncert publiczny w sali Plejela, gdzie mu towarzyszył Kalkbrenner z kilkoma innymi znakomitymi artystami. Zapowiedział z panem Lee, wiolonczelistą, nowy koncert na 17. stycznia b. r. (Guzików, jestto znany i publiczności naszéj Izraelita z Kowna (w Litwie), grający na instrumencie ze słomy, a o którym dzienniki francuzkie dziwne i śmiéchu godne pisały rzeczy.) — *P. Orłowski*, rodem z Warszawy, uczeń Elsnera, młodzieniec z prawdziwym talentem do muzyki, bawi ciągle we Francyi, w mieście Rouen, gdzie słusznie uważany jest za piérwszego w tém mieście artystę. Przez dwa lata był dyrektorem tamtejszéj opery; teraz sam złożył ten obowiązek, ażeby miał więcéj czasu do oddawania się utworom muzycznym i lekcyjom prywatnym na skrzypcach. — W Paryżu jest teraz dziesięciu lekarzy polskich, którzy otrzymali pozwolenie praktykowania w stolicy. Tymi są: *pp. Brawacki, Wołowski, Kulawski, Hofman, Matuszyński, Krysiński, Sulikowski. Korabiewicz, Dobrowolski, Doroszko.* Kilku innych kończy nauki w szkole lekarskiéj w Paryżu. *Ks. B.*

Karnawał w Paryżu odbywa się bardzo wesoło. Wiadomości z Hiszpanii, zgoda między izbami i ministeryjum, przyłożyły się do wesołości powszechnéj. — Dawne mody wracają, ale z niémi oraz dawny przepych i kosztowne ubiory, co przyczynia się do wzrostu fabryk francuzkich, lecz oraz do obdłużenia się i upadku rodzin nie nader majętnych. — Co się tycze wychowania, jest we Francyi wiele pism i dzieł, ale mało ludzi gruntownie uczonych. Nigdy może nie było łatwiéj kształcić się, pobiérać nauki, ale wada na tém zawisła, że nikt nie chce kończyć swoich nauk, nikt nie ma cierpliwości, aby je należycie przewartował; tylko każdy, nauczywszy się zaledwie początków, chce już zostać pisarzem, autorem, poetą. Wszyscy rozprawiają *o ogóle*, a tymczasem nikt nie zna *szczegółów*, z których się ten ogół składa; wszyscy chcą uczyć drugich, a nikt nie chce sam się dać uczyć. (D. P.)

W Peszcie ogłoszono od d. 1. stycznia r. b. nowe węgierskie pismo czasowe, poświęcone naukom, sztukom i krytyce, pod tytułem: *Az Atheneum*. Do pisma tego należéć ma 40stu najznakomitszych autorów węgierskich.

Mikołaj Polewoj wydał w Moskwie część piérwszą swojéj *Biblijoteki rossyjskiéj*, i pracuje nad jéj dalszym ciągiem. Jestto zbiór dawnych, dotąd niedrukowanych dokumentów i innych materyjałów historycznych. — Russow ogłosił drukiem dwa dziełka, jedno o powieściach islandzkich w ich stosunku do starożytnych dziejów rossyjskich, a drugie o prawdziwości znanego starożytnego poematu bohatérskiego, pod nazwą: *Wyprawa Igora na Połowców*.

Dzieło słynnego Vidocq'a: *Les voleurs*, robi sprawiedliwe wrażenie w czasie teraźniejszym w Paryżu, gdzie tyle kradzieży popełnianych bywa, odkrywa bowiem publiczności przebiegi złodziejów, a ta za to wdzięczną okazuje się tak autorowi, jakoteż wydawcy, rozkupując jak najskwapliwiej rzeczone dzieło. (Czytelnicy przypomną sobie, że Vidocq był czas długi przy policyi w Paryżu i używany do chwytania złodziei, z wielką to wykonywał przebiegłością.) — Drugiém równie zajmującém publiczność lubo zupełnie odmienném co do dażności zjawiskiem w piśmiennictwie francuzkiém jest *Biografija autorek*, z ich wizerunkami. Z tych wiele bardzo jest ciekawych, a mianowicie biografija pani Dudevant (Georges Sand) pióra Juliusza Janin.

Znany autor angielski Sheridan Knowles napisał nowy dramat: *Córka morskiego rozbity*, który największe ma zawiérać piękności. Publiczność londyńska przyjęła to dzieło z niewymownémi pochwałami.

W Paryżu założony ma być w istocie drugi *Theatre français*; niejaki p. Antenor Joly, autor ministeryjalny, otrzymał na to pozwolenie, lecz dotychczas tylko pod warunkami ograniczającémi, przeważającémi takowe, tak, iż założenie pomienionego teatru nie jest jeszcze zupełnie pewném. Mówią wszelako, że pani Dudevant-Sand napisze dramat na rozpoczęcie tego teatru, a zwłaszcza tak po męzku, jak żaden mężczyzna nie jest tego w stanie wykonać. Chce ona nawet przestać być kobietą, jeźli ją przypuszczą do wszystkich męzkich klubów i do akademii wprowadzą, gdzie, jak mówi pewny dziennik francuzki, zasiadłaby wtedy jako młody, pełen męzkości akademik niewieści, pomiędzy 39 staremi niewiastami we frakach.

Malarz rossyjski Büllow, którego obraz kolosalny »Zniszczenie Pompei« naprowadził Bulwera na myśl pisania swojego sławnego romansu: »Ostatnie dni Pompei,« ukończył właśnie zamówiony przez cesarza rossyjskiego drugi obraz kolosalny: »Wzięcie Warszawy,« pod względem sztuki równéj, jak poprzedni, wartości.

Henry Thomas, sekretarz towarzystwa angielskiego ku zniesieniu pastwienia się nad źwiérzętami, nie dawno następujące osoby o to do rządu zapozwał: Richarda King, woźnicę, który nielitościwie bił swojego konia; (tenże skazany został na zapłacenie 10 szylingów kary,

a ponieważ zapłacić ich nie był w stanie, odsiedział przeto czternaście dni w więzieniu). Na zapłacenie 20 szyl. skazano Johna Terw i Jeremijasza Wicken, piérwszego za męczenie koni, drugiego za niepotrzebne pastwienie się nad owocami. Podobnież skarano dwóch ludzi, którzy mając kulawe konie, jeszcze je niemiłosiernie bili. — Dziennik *True Sun* dodaje do tych wiadomości, że obowiązkiem jest każdego człowieka donosić o podobnych przestępstwach, ażeby też dla przykładu ukaranémi zostały. Czas już nareszcie, ażeby w to i u nas wglądniono, iżby nad biédnemi źwiérzętami tak się nie pastwiono bezkarnie, i nic nad ich siły od nich nie wymagano!!

W roku zeszłym wysłano z Głogowej, w Szlązku, do Prus wschodnich i Polski 50.000 butelek tak zwanego wina szampańskiego, fabrykowanego z Grünebergerskiego wina.

Gdy książę Kondeusz wojskiem hiszpańskiem we Flandryi dowodził, jeden z szeregowych żołniérzy został od pułkownika swojego za małe wykroczenie kijmi ukarany. Uczuwszy jak najmocniej hańbę tak srogiego z nim obejścia się, odgrażał się przed kolegami, że pułkownik postępku swojego wkrótce gorzko żałować będzie. Doniesiono o téj groźbie pułkownikowi, lecz tenże, ponieważ dnia następnego szturm do okopów nieprzyjacielskich przypuszczać miano, ukaranie zuchwałego żołniérza na poźniéj odłożył. Nazajutrz wezwano ochotników do szturmu. Ukarany żołniérz piérwszy z szeregów występuje, wybiéra sobie trzydziestu towarzyszy i na ich czele, z równém szczęściem jak śmiałością, wdziéra się na główny okop nieprzyjacielski i zatyka na nim chorągiew swojego pułku. Na przeciw powracającemu z tryumfem wyjeżdża pułkownik, ściska go i daje mu kiesę złota. Żołniérz przyjmuje kiesę i z radością rzuca ją między kolegów. »Nie dla złota to uczyniłem (rzecze), ależ mości pułkowniku, nie prawdaż, że miałem słuszność, gdym mówił, iż gorzko pożałujesz, że mnie bić kazałeś.« Książę Kondeusz, dowiedziawszy się o tym wypadku, mianował tego walecznego żołniérza oficérem i postępek jego nazwał najpiękniéjszym czynem, jaki mu się trafił w ciągu jego służby wojskowéj.

Honory oddawane listowi. Gdy sir Harford Jones w poselstwie do Persyi jeździł, list, który tenże miał sobie od króla Jerzego III. do szacha perskiego powierzonym, niesiony był na noszach w ciągu całéj podróży przez Persyję, a eskortowało go dziesięciu żołniérzy z oficérem. Przy każdém odpoczywaniu orszaku, zdejmowano list przy odgłosie trąb z noszów i przykryty złotolitą materyją, kładziono w monarchicznym namiocie, a żołniérz, stojący na straży z gołym pałaszem, pilnował, by nikt się nie odważył tyłem do listu obrócić.

Paryż widziany z wysokości napowietrznéj. Lord W*, jeden z tych ochotników, którzy nie dawno w Paryżu z balonem p. Green podróż napowietrzną odbyli, tak ją opisuje: »W piérwszych chwilach wzniesienia się balonu, obracanie się w kółko było tak dotkliwe, że mi się w głowie zaczęło kręcić; nie spodziewaliśmy się takiego walcowania naszego czółna, i byliśmy nieco zmieszani, ale ruch ten przestawał na nas działać w miarę jakeśmy się oddalali od nieruchomych na ziemi punktów porównania, a gdyśmy się wznieśli daleko w powietrzu, wcaleśmy go nie czuli. Nawet ruch wznoszenia się w górę przestał być dostrzegalny, chyba przez stopniowe malenie przedmiotów na ziemi będących. Z wysokości może tysiąca sążni Paryż wydawał mi się jak karta jeograficzna. Gwar i turkot, rozlegający się nad nim w powietrzu, coraz bardziéj ustawał i całe miasto zdawało się być puste i ciche. Sekwana, dopóki ją można było dostrzedz, zdawała się jak woda zaklęta, nieruchoma. Nie było różnicy między wzgórzystością, a równiną; wzgórza Montmartre i Saint-Chaumont były dalszym ciągiem jednéj płaszczyzny. Nakoniec wszystkie gmachy Paryża zgromadzają się w jeden punkt, a pomroka, jakby jaka obszérna z pod ziemi wychodząca chmura, rozciąga się nad miastem. Kiedy niekiedy dwa punkty najwyższe unoszą się nad tą pomroką: szczyty Inwalidów i Panteon; piérwszy szczególniéj wydaje się jak księżyc w pełni, któryby zachodził pod stopami twemi śród bladego mroku zimowego. Wszystko zniknęło; przebywamy teraz krainę chmur. Otaczające nas wyziewy są tak zgęszczone, że powiedziałbyś, iż są dotykalne, ale powietrze więcéj tam wilgotne, niż zimne; na termometrze moim były trzy stopnie ciepła. W pokładach wyższych powietrza uczułem dopiero zimno i musiałem się okryć płaszczem. Zacząłem krótko oddychać, w skroniach uczułem ciśnienie i krew puściła mi się z nosa. P. Green zajadał spokojnie kawał pieczeni z dzika i nie raczył spoglądać ani w prawo, ani w lewo, ani nad siebie, ani pod siebie, jak stary Paryżanin, który obojętnie przechodzi przez plac *de la Concorde* (plac, pośród którego wznosi się obelisk Luxor), na chwilę nie zwracając wzroku na cuda, które go otaczają. Z resztą ta zimna krew miała to dobrego, że nas czyniła spokojniejszémi. Najwięcéj mnie uderzyła w téj wysokości nadzwyczajna cichość w powietrzu i słabość odgłosu naszych rozmów. Mój sąsiad, który na ziemi mówi pięknym *basem*, zamienił go w chmurach na kobiécy głos *soprano*. Nagle przez massy obłoków, które ciężyły nad naszémi głowami, przebija się jak gdyby najpiękniejsza, najświetniejsza zorza północna. Płuca zaczęły doznawać ulgi i powietrze zdawało nam się w oddychaniu znajome. Sprawdziłem także w tych przestrzeniach zjawisko przeglądania się ziemi w obłokach, co przypomina przeglądanie się pustyni. Nie mógłem myśléć, żem się łudził, tak widziałem dokładnie, w kierunku północnym, na dwieście sążni po niżéj balonu, kopuły, wieże, całe stosy ukośnych dachów, jak gdyby dla téj lub owéj części Paryża, obłoki były źwierciadłem. Zwróciłem na to uwagę pa. Green, ale dał mi do zrozumienia, że to nie było dla niego rzeczą nową. Wnet zaczęliśmy używać przepysznego widoku. Balon wzniósł się nad płaszczyzną płaską, podobną do oceanu powietrznego, ale równego i spokojnego, i zaczęło tak być ciepło, żem zrzucił z siebie płaszcz, jako niepotrzebny ciężar, nie zważając na to, że może go żałować będę przy wysiadaniu: przebił ciemne powietrza warsty niższe i zniknął. Niech go los spuści na barki jakiego nieszczęśliwego! Przybyliśmy do krainy światła, tam słońce świeciło tylko dla nas, i tak hojnie, jak gdyby nasz balon był ciałem do jego systematu należącém. Na chwilę myśl straszna przeszła mi przez głowę: bałem się, aby balon nasz nie uwolnił się od praw ziemskich, i nie chciał przez wdzięczność latać do koła gwiazdy, która go zaszczycała promienistém ciepłem. Bylibyśmy pragnęli zarzucić kotwicę na krańcach tych dwóch światów ciemności i jasności, ale wnet spostrzegłem, że spadamy z taką szybkością, iż gdy w powietrze plunąłem, ślina spadła mi na czoło. Podarłem na tysiąc kawałków arkusz dziennika, który miałem przy sobie i rzuciłem je na powietrze; w oka mgnieniu latały o 500 stóp nad balonem. P. Green ruszył klapkę swojéj machiny, i szybkość naszego spadania zaczęła wolnieć. Słońce zaszło dla nas i cienie znowu nas otaczały. Pomimo radości, jaką mi sprawiła ta podróż, z uczuciem prawdziwéj rozkoszy wyskoczyłem z łódki na ziemię. W godzinę potém myślałem, że miałem sen; był to sen, za który zapłaciłem sześćset frank. (Za taką cenę przyjmował p. Green tych, co się z nim puścili balonem: znalazło się siedmiu ochotników.) Ale nie możnaby przepłacić radość przyjemności widzenia na chwilę słońca w Paryżu i w styczniu.« *Ks. B.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*